Kraków, 7-go Maja 1908 r.

Rok 4. Nr. 10.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 19 „Prawdy.“

WIOSNA.

(Dokończenie).

Bocian z całą powagą przechadzał się po łące, i nic nie było w stanie go nakłonić do śmiechu.

A cały las już był rozkwitł, tylko listki były dotąd maleńkie, tak iż słońce mogło zaglądać do zawilców. Konwalijki roztaczały cudny swój zapach dla delikatnego powonienia, zaś miodowniki dla niewybrednych. Zielone kwiaty buku drżały na nowych, cienkich gałązkach; wiśnie i tarnina były białe od góry do dołu, śnieżki i gnidosze wysuwały się jak mogły naprzód. Tasznik, który kwitł przez cały rok, gniewał się bardzo, iż nikt nie zwracał nań uwagi, zaś storczyki wyglądały tajemniczo dlatego, że miały dziwne jakieś cebulki w ziemi.

Głęboko, pośród młodych zarośli bukowych, gdzie było najpiękniej i najbardziej zielono, siadł czyżyk, starając się o względy swej ukochanej, która tuż obok przeskakiwała z gałęzi na gałąź, z miną taką, jakby nie miała pojęcia o co mu chodziło.

On zaś śpiewał:

Jeśli chcesz zostać moją żoneczką
Posłuchaj, przyszłość tak marzę;
Dam ci uwite, piękne gniazdeczko
I drobne pisklęta w darze.
Domek nasz będziem pilnie budować
Tam, gdzie gaj stoi bukowy,

I żółtodzióbki wspólnie w nim chować.
Jak widzisz, plan mój gotowy!
Ja ciebie dzisiaj kocham nad życie,
Powinność też spełnię wiernie,
Będę ci znosił muchy obficie,
Z gałązek usunę ciernie!
Póki miłości nam los nie zwarzy,
Gdy świt, już wyjrzę na błonie,
Ty się zostaniesz w gnieździe, na straży,
Po pracy piosnkę wydzwonię!

Skończywszy swą piosnkę, spojrzał na ptaszka, a kiedy mu natychmiast nie odpowiedziała, mocno szturgnął ją dziobkiem.

— Daj mi pokój! — sarknęła.

Ale kiedy już jej nie dziobał i rozwinął skrzydełka, jakby miał ochotę odfrunąć, pośpieszyła z odpowiedzią:

I ja ci jestem szczerze życzliwą.
Zostanę twoją żoneczką,
Dla maleństw będę mateczką tkliwą,
Obierzmyż sobie gniazdeczko!

I poleciały ptaszki razem przez las, śpiewając wesoło. Zaledwie zaś zniknęły, ukazała się para innych ptaszków, siadła na tej samej gałązce i rozpoczęła tęż samą grę w inny nieco sposób.

Tymczasem listki buku rosły i zjawiało się ich coraz więcej i więcej. Gęściej i gęściej układały się nad lasem, aż pewnego pięknego poranka słońce nie mogło znaleźć otworu, przez który mogłoby zajrzeć.

Wówczas zawilce leśne przeraziły się naprawdę.

— Świeć nam, słoneczku, bo zginiemy! — wołały.

Wzywały wietrzyk, by zmiótł szkaradne liście z drogi, aby słońce mogło się przyjrzeć swoim małym, milutkim zawilcom. Wołały ku bukom, czy im nie wstyd, że takie wielkie, silne drzewa chcą zabić niewinne kwiatki. Wzywały wiosnę, czyby nie zechciała im pomóc w tym nieszczęściu.

Ale słońce nie patrzyło na nie i wiosna ich nie słuchała, i buk nie zwracał na nie uwagi, i wiatr wyśmiewał je tylko. Radość w dolinie była tak wielka, że skargi ich

gubiły się w tym weselu i ginęły, a nikt nie zwrócił na nie uwagi.

Codziennie ukazywały się nowe kwiaty, lśniące i roznoszące zapach. Codziennie ptaki zdobywały się na nowe tryle, które dołączały do swych pieśni. Jeleń ryczał już na łąkach, zanim słońce wyszło, a jego połowica odpowiadała mu wesołemi skoki. Rybki żwawo pluskały się w wodzie i nie było końca rechotaniu żab po rowach. Zmijka uwijała się po brzegu pagórka i bawiła się swym językiem. Na każdym płotku siedziała mała, szara myszka, figlarnie zerkając jedna ku drugiej. Nawet muchy brzęczały pieszczotliwiej, niż zwykle.

A kiedy radość powszechna była u szczytu, młody książę wiosny stał w dolinie, na najwyższym miejscu, tam, gdzie góry osłaniają ją od północy.

Rozglądał się po swym królestwie. Oczy jego były marzące i wilgotne, usta uśmiechały się bezustannie. Przewiązał zieloną, jedwabną wstęgę, na której nosił swą lutnię, poprzez ramię, raz jeszcze poruszył struny i zanucił. Ptaki przyciszyły swój śpiew, a kwiaty przymknęły kielichy.

Wiosna pochyliła się nad maleńkim, niebieskim kwiatkiem pachnącym u jego stóp, i zaśpiewała rzewnie:

O marzący,
O łagodny,
O cudowny
Kwiecie niezabudki!

Poczem wyruszyła naprzód, — ku północy. A gdzie stąpnęła, tam topniał śnieg, i zakwitały kwiaty.

Kiedy zaś doszła do ostatniego miejsca, skąd mogła jeszcze widzieć dolinę, obejrzała się po za siebie.

Tam zaś, nizko w kierunku południa, gdzie dolina przechodzi w równinę, stał książę lata, wysoki i smukły. Oblicze jego i ręce były brunatne od słońca, oczy łagodne i gorące, jak słońce. Na ramionach miał płaszcz purpurowy, na biodrach pas złotolity. Za pasem zatknięta cudna, ponsowa róża.

Wtedy wiosna skłoniła się nizko i oddaliła się poprzez góry.

Ziemowit i syn Piasta.

Przed wiekami, przed dawnemi,
Na gnieźnieńskiej starej ziemi,
Ponad Gopłem, pośród skał,
Książę w zamku synka miał.

Przykre było to książątko,
Rozpieszczone, jak kurczątko,
Nieposłuszne, pełne wad,
Choć już miało siedem lat.

A pod zamkiem tuż,
W chatce pośród zbóż,
U stóp wielkopańskich gniazd,
Miał też synka rolnik Piast.

Ten ubogi Piast poczciwy
W trudzie orał swoje niwy.
Syn pomagał mu co sił
I surowo chowan był:

Dobry z niego był chłopczyna,
Więc kochała go rodzina,
On był wszystkim służyć rad,
Choć miał tylko siedem lat.

Rośli tak dwaj siedmio-latki,
Każdy syn u swego tatki,
Aż z nich każdy ucztę dał,
Bo się obrzęd odbyć miał.

Obrzęd zwany „postrzyżyny",
Krótkie włoski odtąd syny
Strzygli w ziemi blizkiej mórz,
I nie byli dziećmi już.

Wnet za gościem gość,
Dąży ludzi dość,
Pan do zamku pysznych wrót,
Kmieć do chaty słynnej z cnót.

Krzątają się ojce, matki,
A u progu biednej chatki,
I u zamku wielkich bram,
Stoi chłopczyk tu i tam:

Stoi, wita swoich gości;
W szarych sukniach ludzie prości,
W barwnych szatach jedzie pan,
Aż od strojów błyszczy łan.

A wtem idą w zamku progi,
Przyodziani w strój ubogi,
Dwaj podróżni z dala snać,
Jakaś obca, biedna brać.

Więc książątko krzyknie dumnie:
— Precz! Nie dla was uczta u mnie
Precz, żebracy, od tych bram,
Bo tu Popiel mieszka sam!

Wtem od kmiecych chat,
Gdzie tłum szarych szat,
Zabrzmi głosił: — Proszę tu!
Dwóch się zmieści, gdzie jest stu.

Hej, podróżni! proszę do mnie,
My ucztujem tutaj skromnie,
A na spanie mamy stóg,
Proszę, wejdźcie w ojców próg!

Poszli obcy do chatyny,
Odprawili postrzyżyny,
Jak gościny każe cześć,
Potem wszyscy siedli jeść.

Opuszczając zaś gościnę,
Dwaj wędrowcy na dziecinę
Kładąc ręce, rzekli tak,
Czyniąc nad nim krzyża znak:

— W imię Pańskie, Ziemowicie!...
Oto chrzcimy cię na życie,
Barwne, jak stubarwna nić,
Dziewięć wieków tobie żyć!

Żyj na chwałę, żyj,
Jasne niebo śnij,
Póki prawdę będziesz czcić,
W cudnej chwale będziesz żyć;

Potem przyjdą srogie próby,
Nad przepaścią będziesz zguby,
Lecz znów staniesz u czci wrót,
Tylko wróć, ach, wróć do cnót!...

Rzekłszy tak, odeszli z chaty;
Zginął Popiel ów bogaty,
Lud na księcia Piasta wzniósł
I Ziemowit księciem wzrósł.

Dziewięć wieków jego plemię
Dziedziczyło ojców ziemię,
Tak to zwykł nagradzać Bóg
Tych, co Jego strzegą dróg.

Wedle starożytnej kroniki Marcina Galla, dumny książę Popiel i ubogi kmiotek Piast wyprawiali jednocześnie uroczystość pogańską „postrzyżyn“ siedmioletnim synkom swoim; przyczem odpędzeni od wrót książącego zamku dwaj ubodzy wędrowcy ugoszczeni zostali w kmiecej chacie Piasta, i odchodząc w nagrodę świętej gościnności pobłogosławili mu synka dobrego, przepowiadając jednocześnie wszystkie jego i jego potomków losy przez ciąg dziewięciuset lat; co wszystko sprawdziło się święcie, gdy Popiel zginął, a potomkowie Piasta i Ziemowita panowali jako książęta a potem królowie nad Polakami. Podanie niesie, że ci wędrowcy byli to apostołowie Słowiańszczyzny, święci Cyryl i Metody.

MAŁA BOHATERKA.

Sylwia była córką zamożnych rodziców i mieszkała w pięknej wiosce we Francyi. Miała ona dwóch braci których bardzo kochała, a będąc od nich starszą o lat kilka, zawsze czuwała nad nimi troskliwie. Z tego powodu chłopcy nazywali ją swoją „małą mateczką.“ Codzień rano chodziła ona z nimi na spacer, a rodzice pewni byli, że dzieciom nic złego się nie stanie, bo Sylwia rozsądną i troskliwą była opiekunką.

Pewnego ranka tak było pięknie i pogodnie, iż Sylwia dalej niż zwykle, zapuściła się z braćmi. Zmęczeni bardzo, dotarłszy do rozległej łąki, postanowili spocząć nieco, zanim z powrotem do domu podążą. Naraz poczęły się na niebie gromadzić czarne chmury. Przestraszona dziewczynka wezwała braci, aby wstali i pośpiesznie wracała z nimi do domu. Miała nadzieję, że zdąży dojść do jakiej chaty wieśniaczej, zanim burza nadciągnie. Lecz zawiodła się: jeszcze łąki nie minęli, gdy czerwone błyskawice rozdarły niebiosa, wicher straszliwy zawył, gromy zahuczały i deszcz lunął potokiem. Chłopcy, z których starszy liczył lat sześć zaledwie, nie mogli iść dalej. Silny wiatr przewracał ich. A był on tak silny, że drzewa łamał, zrywał z chat dachy, i unosił je w powietrze. Przerażona Sylwia wzięła obu

braci na ręce, starszemu kazała z tyłu na plecach się umieścić, młodszego otuliła ramionami i biegła zdyszana oblana potem, zmoczona potokami deszczu, pragnąc jak naprędzej do domu się dostać. Już w dali zarysowały się ściany zamku d'Alenkur, własności jej ojca, już dzieweczka w duszy mówiła sobie:

— Za kilka minut będziemy w domu, — gdy naraz przyszło jej na myśl, że wokół posiadłości ojca znajduje się rów głęboki. Rów był suchy, gdy szli na spacer, lecz teraz spostrzegła, iż napełnił się wodą. Odważna dziewczyna nie traci jednak przytomności, spuszcza starszego brata z ramion na ziemię, każe mu stać i czekać cierpliwie, z młodszym zaś wchodzi w rów, zanurza się głęboko w wodę, lecz wydostaje się na brzeg szczęśliwie. Po chwili wraca po starszego i przenosi go w ten sam sposób. Płynąca wartko woda kilkakrotnie popycha ją tak silnie, iż Sylwia, aż się zachwiała, kilkakrotnie prąd wody poczyna ją unosić, lecz mężna dziewczyna walczy z falą, opiera się jej i zwycięża. Z wysiłkiem chwyta się traw w wodzie rosnących, krzewów znajdujących się nad rowem i wydostaje się na brzeg, bierze znowu obu braci na ręce i pędzi z nimi ku zamkowi. Jeszcze chwil kilka i dostaje się szczęśliwie do domu, oddając matce i ojcu obu braci.

Rodzice, którzy zaniepokojeni o dzieci na wszystkie strony wysłali służbę, aby ich szukała, ujrzawszy zmoczoną i zdyszaną Sylwię, wbiegającą do pokoju, cisnęli się ku niej z otwartemi ramionami. Ojciec dobiegł pierwszy pochwycił ją na ręce i całując, zaniósł natychmiast do sypialni. Sylwia spełniła wolę ojca, leżąc opowiedziała całą przygodę, z prostotą wielką, nie chwaląc się, nie przeceniając swej zasługi, przeciwnie, wiele przygód, które ją przedstawiały jako bohaterkę, pominęła.

Nazajutrz rozwinęła się bardzo silna gorączka i Sylwia rozchorowała się niebezpiecznie! Zdawało się, że ostatnia chwila jej życia się zbliżała, zdawało się jej, że już umiera, ale i teraz odważną się okazywała. Widząc łzy w oczach rodziców, zwróciła do nich twarz uśmiechniętą.

— Nie płaczcie, rzekła, — nie żałuję życia, bo oddałam je za braci moich. Ja umrę, lecz oni żyć będą, aby wyrośli na pociechę waszej starości...

Płacz cichy rozległ się w komnacie.

— O żebyż Bóg dobry cię uzdrowił, moja ukochana dziecino! szeptała matka.

I ulitował się Bóg nad dobrą dzieweczką: po kilku tygodniach ciężkiej choroby przyszła do zdrowia.

Skąpy Genio.

Zjadł Ludwiś swe jabłko, Genio miał swe jeszcze
I mówił: „Nie zjem go, aż się niem popieszczę,
Jest piękne, rumiane — co to za smak będzie!
A Ludwiś już nie ma, więc przy mnie usiędzie
I ślinka mu pójdzie,... poprosi o trochę,
Lecz nie dam ni iskry!“ — rzekło dziecko płoche.
Usłyszał to Ludwiś, roześmiał się w duchu
I rzecze do Genia: „Mój ty miły zuchu,
To jabłko jest ładne, ale cóż ci z tego,
Gdy na niem tak mało miejsca jest równego...
Jakbyś chciał, to ci go obrównam — wygładzę,
No pokaż — nie bój się, ja ci dobrze radzę!“...
I Genio dał jabłko; Ludwiś nóż przyłożył,
Okroił dokoła, a odpadki spożył —
Powtórnie obrównał — i jeszcze raz trzeci,
A Genio się patrzał;... śmiejecie się dzieci?
Już abłka jnie było nawet i połowy,
Kiedy Genio przyszedł po rozum do głowy,
Zaczął krzyczeć, płakać — ale go wyśmiano,
I z resztą jabłuszka naukę podano:

„Nie bądź nigdy skąpy i zbyt łatwowierny,
A każdy dla ciebie będzie szczery — wierny.“

Franciszek Marzec.